

OSTATNIE DNI NA PAWIAKU - OBÓZ KONCENTRACYJNY

W dniu 4-tym lipca 1944 r. Niemcy wyprowadzili z Oddziałów V i VI wszystkich więźniów Pawiaka, zbieranych na podwórzu więziennym, celem ostatecznego ustalenia składu transportu. Obserwowałem to z okien dużej celi "roboczej" IV Oddziału. W pewnym momencie usłyszałem z podwórza swoje nazwisko. Odetchnąłem z ulgą. /Nie wiedziałem, co to znaczy hitlerowski obóz koncentracyjny/. Jechałem "w transport". Za chwilę przyszedł Niemiec na Oddział IV i zabrał mnie z celi na podwórze. Znalazłem się w kilkaset osobowej grupie więźniów. Przywitałem się z panem Kazimierzem Jordanem, który był więziony na innym oddziale, i z Gieńkiem Majkowskim. Po definitywnym ustaleniu składu transportu zaprowadzone nas na V Oddział, gdzie znalazłem się w celi z panem Jordanem i Gieńkiem.

Po kolacji wszyscy więźniowie celi we wspólnej modlitwie podziękowali Bogu Wszechmocnemu za łaskę przeżycia Pawiaka i prosili o dalszą opiekę w mających nastąpić kolejnych trudnych dniach - przedłużającej się w nieskończoność wojny.

Po północy, a był to dzień piąty lipca 1944 r. - Filomeny, dzień imienin mojej Matki, przyszedł na oddział Niemiec i Ukraińcy z obsługi Pawiaka i jacyś cywile, być może z Gestapo z Alei Szucho, by nas związać. Każdy z nas ubrał się w to co miał. Wszystko co mieliśmy: chleb, coś do chleba, jakiś ręcznik, szczoteczka do zębów, papierosy, kubek, manierkę - włożyliśmy do woreczków i zawiesiliśmy sobie na szyjach. Niemcy związali nam ręce złożone na plecach mocnym kawałkiem sznurka. W oczekiwaniu na wywiezienie z Pawiaka każdy usiadł jak mógł i gdzie mógł. Po dwóch, trzech, czy czterech godzinach, gdy nastał świt przyjechało na Pawiak kilka samochodów, którymi zostaliśmy przewiezieni na ówczesny dworzec towarowy przy ul. Towarowej. Zostaliśmy umieszczeni i zamknięci w wagonach towarowych po kilkudziesięciu więźniów. W wagonie zdołaliśmy się wzajemnie uwolnić ze sznurków krępujących nam ręce. W wagonach robiło się coraz duszniej.

Wagony zamknięto i pociąg ruszył w drogę. W naszym wagonie było o połowę więcej ludzi i bardzo wielu z nas musiało stać do końca podróży. W końcu przybyliśmy na miejsce. Była godzina może 5-ta, a może 6-ta. Dokuczało nam straszne pragnienie. Gieniek dał mi szczyptę jakichś kryształków, które na krótko zaspokoili moje pragnienie zwyczajnej, ziemskiej, czystej wody. Staliśmy i czekaaliśmy, aż ktoś się nami zainteresuje i zacznie coś z nami robić. W końcu wagony otworzono i kazano nam wyjść. Znaleźliśmy się na małej stacji otoczeni strażą obozową. Kilku strażników miało psy owczarki. Pies - przyjaciel człowieka - był naszym wielkim wrogiem. Rozpoczęto sprawdzanie stanu więźniów. Każdy, którego nazwisko i imię wyczytano, przechodził w ustalone miejsce. Sformowano chyba dwanaście grup po 50 więźniów w każdej grupie. Do każdej grupy kolegów podchodził ten, który wyczytywał nasze nazwiska i wyczytawszy trzy, cztery lub pięć nazwisk zapytywał, czy tych ludzi nie ma w naszej grupie. Ci wyczytani to byli uciekinierzy w nocy z transportu.

Otoczeni strażnikami ruszyliśmy do obozu. Teren był pagórkowaty i podmokły, lub może w nocy spadł tu deszcz, bo rowami przydrożnymi płynęła woda. Była brudna i zwyczajna, lecz niektórzy z nas

podbiegli do rowów i zaczerpnąwszy trochę tej wody menażką lub kubkiem pili ją, gdyż nie wytrzymywali bez wody. Po 40-50 minutach marszu otworzono przed nami bramę hitlerowskiego obozu koncentracyjnego - GROSS-ROSEN.

Weszliśmy w głąb obozu. Zatrzymano nas na jakiejś szerokiej "Lagerstrasse". W obozie panował absolutny spokój, cisza, czystość. Dzień był 6-ty lipca 1944 r., godzina 8-9-ta. Dzień piękny, słoneczny, gorący. - Z krzyża, którego nigdzie nie było, patrzył na nas Chrystus.

Kazano nam oddać wszystko co mamy. Jedni więźniowie z obsługi obozu /już w pasiakach/ zbierali do worków jedzenie, inni mydło, inni naczynia, menażki, garnki i manierki, inni ręczniki i bielezną zapasową.

Przyszedł jakiś SS-man, wyczytał kilkanaście lub dwadzieścia kilka nazwisk i zabrał gdzieś naszych kolegów, pewnie do krematorium - skąd nie wrócili i nikt ich więcej nie widział. Do nas przystąpili inni ludzie i uczynili nas numerami. Stałem się numerem 2799.

Pierwszy raz od 40 godzin zaspokoilem pragnienie. Wyszedłem z łaźni. Na mojej szyi na cienkim sznurku wisiała blaszka z wybitym numerem 2799. Dostałem koszulę, kałesony, jakieś kiedyś czyjeś spodnie z wymalowanymi czerwoną olejną farbą "lampasami" i jakąś kiedyś czyjąś marynarkę z wymalowanym na plecach farbą olejną czerwonym krzyżem oraz drewniaki. Byłem sobą 2799. Trwał dzień 6 lipca 1944 roku. Była godzina 16-ta lub może 18-ta. Kazano nam iść na jakiś blok. Było już nas tam wielu. Trudno było kogoś rozpoznać. Blokowy lub "sztubowy" krzyknął: "Dwudziestu na ochotnika do mnie". Przeczynałem, że każda chwila opóźnienia może spowodować bicie. Dlatego odrazu poszedłem do blokowego. Dwójkami zaprowadził nas do kuchni. Wzięliśmy wskazane kotły z zupą i wracaliśmy do bloku. Dla nikogo marsz ten nie był łatwy. Po raz pierwszy szliśmy w drewniakach. Andrzejowi Roszczyńskiemu ta pierwsza nasza próba wypadła fatalnie. Przewrócił się. Wszystkie zupy z niesionego kotła wylała się. Wściekły blokowy kopnął strasznie Andrzeja w brzuch. Nie pamiętam, czy przyniesiono z kuchni nowy kocioł zupy. Pamiętam, że ta pierwsza wysiorpana menażka zupy obozowej, pierwsze jakieś ciepłe jedzenie - po 40 godzinach bardzo różnych, a przeważnie ciężkich przeżyć, bardzo mi smakowała. W zupie tej było nie wiem co - na pewno były liście szpinaku. Może jeszcze liście jakiejś innej rośliny. To był opóźniony obiad, bo na kolację tego pierwszego dnia otrzymaliśmy jeszcze po kawałku chleba i częstce cebuli.

Na apelu wieczornym - jak tyle razy później - staliśmy piętkami. Jeden z kolegów ciężko pobity w nocy zemdlał. Trzeba go było trzymać w pozycji pionowej, aby był widoczny przez liczącego nas SS-mana. Gdyż: "Ordnung muss sein" /porządek musi być/.

Nastąpiła chwila przerwy w tym zdawaniu, przyjmowaniu, liczeniu, strzyżeniu, myciu, czekaniu, staniu i jedzeniu. Każdy mógł się zastanowić nad tym, co się stało, kim jest, gdzie jest i po co jest, i co może być dalej. Jestem 2799. Moją "legitymacją" jest żelazna blaszka z tym numerem. Muszę się stawić przed każdym, kto ten numer wypowie po polsku lub po niemiecku. Jestem w niemieckim hitlerowskim obozie koncentracyjnym o nazwie Gross-Rosen. Teren ten znajduje się w miejscu bliżej nieokreślonym. Jestem bardzo daleko od Warszawy i od Rodziny. Tutaj znam bliżej pana Jordana i Gieńka, ale trudno nam się znaleźć w liczbie około 600 osób. Wokół są inne baraki. W każdym pewnie również po kilkaset mężczyzn. Blokiem rządzi człowiek, który kopie, bije grubym me-

trowym kijem. Po obozie łążą SS-mani. Obóz otoczony jest podwójnym płotem z drutu kolczastego na izolatorach. Druty są pod prądem. Co kilkadziesiąt metrów za płotem stoi wieża wartownicza. Nad wieżą umieszczony jest ruchomy reflektor. Na słupach ogrodzenia jest wiele lamp elektrycznych.

Czy jest stąd jakieś wyjście? Czy ja stąd kiedyś wyjdę? Czy rzeczywiście jedynym stąd wyjściem jest wyjście przez komin w postaci dymu?

A gdy wchodziliśmy do obozu - z wysokiego komina rzeczywiście wydobywały się kłęby dymu. Kogoś palono. Czy tylko jednego? Ilu? A ci, których dzisiaj zabrano bezpośrednio z naszego transportu? Gdzie są, i czy ten dym, który snuje się po niebie, to nie z ich ciał?

Z ulgą opuszczając Pawiak, ale gdzie jestem w tej chwili?

"Schlafen"! Spać!. Na rozkaz blokowego kilku ludzi rozkłada na całej podłodze dużej sali sienniki, które leżały w kilku stołach w kącie sali. Kiedyś w siennikach tych była pewnie słoma. Dzisiaj jest tylko sieczka.

"Schlafen!". Każdy kładzie się gdzie może. Głowy-nogi, nogi-głowy, głowy-nogi. Nie mam się gdzie położyć. Ostatecznie kładę się między głowami kolegów. Kończy się pierwszy dzień w obozie. Kończy się natychmiast. Zasypiam. Budzi mnie i innych jakiś krzyk. Ktoś chce wyjść z bloku przez okno. Inni go zatrzymują. Biedak odzyskuje świadomość i kładzie się wśród kolegów. Zasypiamy.

"Aufstehen!". Wstawać! Jest dzień 7 lipca 1944 r. Coś się działo. Działo się wiele. Lecz ja pamiętam badanie lekarskie. Zaraz po śniadaniu zaprowadzono nas na jakiś większy plac. Kazano nam rozsunąć się swobodnie i rozebrać do naga. Ubranie leżało złożone przed każdym z nas. Przyszedł stary więzień, starszy już człowiek - Niemiec, dentysta lub technik dentystyczny i określił stan zębów każdego z nas, co zostało zapisane przez pisarza, który z nim chodził. Nie rozumiałem tego co mówił. Być może, że zwracał szczególną uwagę na sztuczne, złote zęby, jeżeli ktoś z nas takie miał. Na podkreślenie zasługuje fakt, że swoje cztery palce włożył kolejno do ust sześciuset mężczyzn. Opisywanie stanu naszego uzębienia trwało przy każdym z nas około 8-10 sekund. Badanie to trwało około 2 godzin. Następnie ustawiono nas w olbrzymią kolejkę do drugiego badania. Polegało ono na tym, że każdy musiał wejść, a raczej został wepchnięty dla pośpiechu, do pokoju, w którym za stołem siedziało kilku Niemców. Dwóch więźniów funkcyjnych chwyciło nas za ręce i pokazywało Niemcom z przodu, następnie byliśmy momentalnie odwracani i pokazywani Niemcom od tyłu, i następnie przez drugie drzwi byliśmy wypychani z pokoju. Jedyne słowa, które usłyszałem w czasie tego "badania", był mój numer. "Badanie" trwało 6 sekund. W ciągu około półtorej godziny uznano sześciuset mężczyzn za zdolnych lub niezdolnych do pracy. Co się stało z mężczyznami, którzy zamiast ręki lub nogi mieli protezy? A tacy ludzie byli wśród nas.

Po "badaniach" wróciliśmy na blok. Ponieważ było trochę czasu, blokowy pouczył nas, co nam wolno a czego nie wolno. Każde niemal zdanie kończyło się ostrzeżeniem, że wyjdziemy "przez komin". Po kilku takich zwrotach jeden z nas powiedział: "Nie straszcie nas. myśmy przyjechali z Pawiaka". Przeraziłem się na myśl o tym, co może nastąpić, ale blokowemu widocznie nie chciało się w tym momencie nikogo bić i niebezpieczeństwo minęło.

Obiad, czyli menażka zupy minęła.

Zaraz po obiedzie przybiegł na blok goniec i wyczytał kilka numerów. Usłyszałem 2799. I następnie znowu kilka numerów. Zapro-

wadzono nas dwójkami do kancelarii. Jakiś cywil pokazywał nam kolejno książkę z częściami radiowymi. Niemiec pokazał mi symbol transformatora i dławika, co określiłem prawidłowo. Niemiec o coś mnie jeszcze spytał, lecz nie rozumiałem o co mu chodzi. Mimo to powiedział "Gut". Mnie i kolegów uznanych za nadających się do jakiejś - wtedy nam jeszcze nieznannej - pracy kazano zdjąć ubrania cywilne pomalowane czerwoną farbą i dano nam pasiaki i pasiaste czapki. Fryzjer golił nam kolejno przez środek głowy, od czoła do karku, 2-3 centymetrową "ścieżkę", abyśmy byli znaczni w przypadku ucieczki.

Moja pasiasta marynarka okazała się dla mnie trochę za szczupłą, ale nie śmiałem prosić o większą i dobrze się stało, bo już po kilku tygodniach pobytu w obozie marynarka była za luźna.

Fryzjer wygolił mi ścieżkę na głowie. Po kilku minutach, wszyscy byliśmy naznaczeni i gotowi. Do czego?

Na następnym wyczytaniu naszych numerów i sprawdzeniu ich z blachami, które mieliśmy na szyjach, kazano nam wsiąść na duży odkryty samochód ciężarowy, na którym już było kilku wartowników i odjechaliśmy. Było nas około 35-ciu. Kazano nam siedzieć na dnie samochodu. Nie było miejsca, więc musieliśmy trzymać nogi na nogach kolegów, lub oni trzymali swoje nogi na naszych.

Nie wiedząc gdzie idę i po co oraz na skutek zamieszania na bloku nie pożegnałem się z panem Jordanem ani z Gieńkiem. Ale czy to ważne, konieczne, wskazane, potrzebne? Przecież jestem 2799. Oni też są jakimiś numerami. Nikt nas nie uznaje, tylko liczy. Nie ważne, czy w tym numerze jeszcze bije serce. Ważne, że trzeba się z niego rozliczyć. Numer nie musi się żegnać z numerem.

W tyle za samochodem pozostały kolczaste druty obozu Gross-Rosen. Jest piękny, słoneczny dzień, piękna okolica, dobra szosa. Ale na rogach samochodu siedzi czterech Niemców i nogi zaczynają nam drętwieć. Co chwila trzeba jakoś zmieniać pozycję. Dokąd jedziemy? Wyraźny jedynie kierunek zachodni, choć droga skręca co chwila na prawo lub na lewo i znów na prawo. Waldenberg /Wałbrzych/. Krótki postój i jazda dalej! Po pewnym czasie Hirschberg. Ulice, uliczki, jakich się już dawno nie widziało. Dużo normalnych ludzi, ale mówiących po niemiecku. Samochód pnie się dość długo pod górę. Następnie wyraźnie i dość długo zjeżdżamy w dół. Jakieś miasta i miasteczka, jakiś wiadukt i jakiś duży budynek fabryczny i zatrzymujemy się. Kilka baraków znowu ogrodzonych drutem kolczastym na izolatorach. Wysiadać! Stawać po dwóch. Wchodzić! Jakiś drab w pasiaku wybiega i staje przed furtką. Spadają na nas pierwsze ciosy i wrzask draba: "to nie idzie być lepiej". Biegniemy. Ciosy otrzymali kolega przede mną i kolega za mną. Ja tym razem miałem szczęście. Lagerälteste - bo to on był właśnie - wpada za nami z krzykiem: "ja was napierdola". Liczy nas, bije i tarnosi i przekazuje Bernardowi na I blok z rozkazem "Schlafen". Jestem przerażony. Miałem nadzieję, że jedziemy do pracy. Przywitano nas ochydnym ordynarnym biciem. Jestem w jakiejś nędznej dziurze w łapach bandytów, mimo, że tak jak i ja są w pasiakach.

Blokowy Bernard zabiera nas na blok. Każe się rozebrać, ubranie położyć na ławce, buty-drewniaki pod ławkę i wskazuje jakieś wolne łóżko w eypialni. Łóżko jest na "parterze". Nade mną jeszcze dwa inne łóżka. Widzę niewiele, bo zapada zmrok. Zasypiam. Budzi mnie kolega, który wrócił z drugiej zmiany i do którego to łóżko należy. Nie bardzo wiedząc, gdzie jestem, kładę się na innym łóżku obok jakiegoś muzułmanina i zasypiam.

"Aufstehen! Wstawać! Schneller! Szybko! Szybciej! Raus! Weg! Du faule Hund! Wy gnojki! Myć się! Sprzątać! Zamiatać! Ruszać się!"

Wpada Lagerälteste. "Co to jest?! To nie może być szybciej! Bernard! Ja was wszystkich napierdola!". Bernard wścieka się i bije wszystkich, którzy mu wejdą pod łapę. A ma ją straszną.

Barak-Waschraum jeszcze nie gotowy, mimo, że jest lipiec, a obóz organizowany od marca. Kolejka więźniów, w tym większość "mużłmanów" do jednego kranu. Nie ma ani mydła, ani ręczników. Mycie to fikcja, której trzeba dokonać, żeby się nazywało, że jest to mycie. Lecz raczej jest to okazja do bezmyślnego ćwiczenia i maltretowania więźniów.

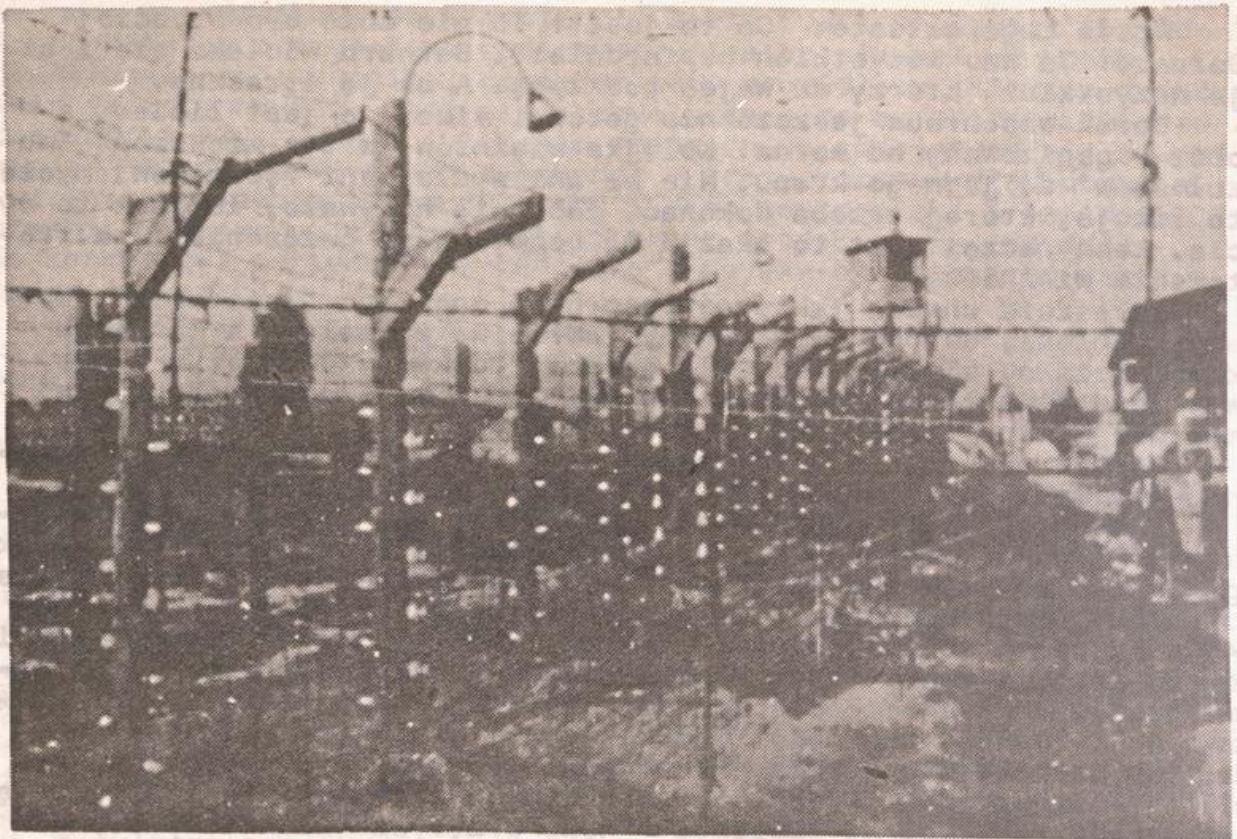
Nareszcie chwila jakiegoś pozornego spokoju. "Śniadanie": kawałek chleba, odrobina margaryny, odrobina marmelady i lurowata kawa zbożowa, ale na szczęście gorąca. Odczuwam w dalszym ciągu wzmożone pragnienie. Wczoraj w czasie drogi z Gross-Rosen do tej zapadłej dziury znowu nie dano nam nic do picia.

Jestem na komandzie obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Richenau bei Gablonz /Richnov koło Jablonca/, Sudety, Czechosłowacja.

"Antreten! Wychodzić! Apel". Ustawiamy się przed blokiem piątkami. Bernard każe zapinać wszystkie guziki. Biada temu, komu brak guzika. Pierwszy apel w Richenau. Naprzeciw nas stoi II blok. Trzeci blok jest w budowie. Jest nas wszystkich Häftlingów około 400-450. Na teren obozu wchodzi Kommandounterscharführer Braun. Wysoki drab. Zamiast twarzy ma straszną maskę. Patrzy gdzieś ponad naszymi głowami. Pada komenda Lagerälteste: "Das Ganze Stillstand! Mützen ab"! "Całość baczność! Czapki zdjąć!". Blokowi meldują stany swoich bloków. Braun liczy i sprawdza. Koniec tego apelu. "Mützen auf!". Czapki włoży! Więźniowie obu bloków mieszają się i ustawiają w komanda robocze. My "Zugang!" - "nowo przybyli" nie wiemy co ze sobą zrobić.

Po odejściu komand do pracy - nas prowadzi jakiś "Vorarbeiter" do baraku na I piętro lub raczej wysoki parter, do działu elektrycznego. Daje nam jakieś pudełka z przewodami elektrycznymi i każe te przewody w kilku punktach zlutować kolbami elektrycznymi. I-szy dzień pracy od ośmiu miesięcy - od dnia aresztowania w dniu 11.XI. 1943 r. Druty zlutowane, czas się wlecze, chodzić nie wolno, wszyscy na nas patrzą ciekawie - czekają nowych wiadomości z dalekich stron. W obozie są Rosjanie, Francuzi, Belgowie, Niemcy, Czesi, Jugosłowianie, Włosi, jeden Norweg i najwięcej nas Polaków. Po długim oczekiwaniu przychodzi do naszej grupy Norweg Loewland /nie budził mojego zaufania/, aby sprawdzić nasze lutowanie. Nie bardzo mu się ono podobało, ale uznał je widocznie za dostateczne, bo między innymi ja miałem zostać i zostałem w dziale elektrycznym.

Przed aresztowaniem w dniu 11.XI.1943 r. w okresie od czerwca 1941 r. pracowałem w zakładach "Philips" w Warszawie przy ul. Karolkowej, gdzie dostałem się dzięki bratu Edwardowi. Na szczęście nie załatwił mi pracy "umysłowej", mimo, że właśnie w czerwcu, w ramach tajnego nauczania, uzyskałem maturę - czym właściwie w czasie okupacji nie mogłem się chwalić - ale właśnie załatwił mi pracę w laboratorium badań naukowych u "Philipsa", jako pracownik fizyczny. Kierownikiem, a często i robotnikiem, tego laboratorium był pan profesor dr Andrzej Sołtan, który badał zjawiska zachodzące w próżni, a szczególnie chodziło o rozbicie atomu. Nad tym zagadnieniem pan prof. Andrzej Sołtan pracował zapewne lub na pewno bez żadnych wyników do chwili wybuchu Powstania Warszawskiego. W czasie mojej tam pracy laboratorium się rozrosło i ja przeszedłem do pracy do pana prof. Jellonka, późniejszego profesora Politechniki Wrocławskiej. Nauczyłem się trochę mechanicznego i elektrycznego łączenia elementów radiowych w całość i nawet szło mi to dość dobrze. Pan profesor Jellonek wyrażał mi swoje zadowolenie z mojej



Reichenau - fragment ogrodzenia obozu

Nr archiwum 3.9.1.21

pracy. Między innymi pan Profesor pracował nad budową diatermii dla potrzeb medycyny. Dzięki tej pracy - po przewiezieniu mnie do Gross-Rosen podałem, że jestem radiomonterem - zawieziono mnie do Reichenau a nie gdzie indziej i chyba tylko dzięki temu żyję.

O godzinie 12-tej lub 13-tej nastąpiła przerwa w pracy na obiad. Wszyscy powracali na swój blok. Na bloku I-szym było nas więcej niż było miejsc w sypialni i miejsc przy stołach. Nie byłem głodny, lecz w dalszym ciągu bardzo chciało mi się pić. Zupa mi nie smakowała, więc po kilku łyżkach oddałem ją jakiemuś wychudzonemu "häftlingowi" z "baukolonny", który z wdzięcznością ją przyjął i zaczął szybko jeść. Mnie było duszno w bloku, więc skierowałem się do drzwi, aby wyjść przed blok. Zza swojego stołu wstał blokowy Bernard i skinął na mnie palcem. Gdy się zbliżyłem syknął: "Kto ci pozwolił wychodzić z bloku?". Zrozumiałem, że popełniłem straszne przestępstwo. Chciałem coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, choć to i tak nic by mi nie pomogło. Bernard tak okropnie uderzył mnie w twarz, że omal nie upadłem. Stałem prosto, lecz sufit bloku jakoś krążył nade mną, a przed oczami przesuwały mi się kolorowe płatki. Byłem przerażony tym, co może nastąpić dalej, lecz widocznie sam blokowy uznał, że dał mi dostateczną nauczkę, bo tylko wrzasnął: "Wynos się!" i wrócił do swojego stołu.

Wyszedłem i usiadłem na schodkach prowadzących do "Waschraum". W głowie mi szumiało. Lewa połowa twarzy i szczęka bolały. Policzek piekło.

Muszę się zastanowić, czy blokowy uderzył mnie w twarz. Bo jeśli uderzył mnie w twarz, to należało zareagować. Ale zareagować na uderzenie w twarz w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, to znaczyło być za chwilę zamordowanym przez blokowego lub nawet przez Brauna. A ja chciałem żyć i przeżyć to drugie po Pawiaku piekło. A po co przeżyć? Wszystko jedno po co. Najważniejsze przeżyć. Więc nie mogę zareagować. Więc nie mam twarzy. A co mam? A co ma numer 2799? Nic! Więc ja też nic nie mam. Jestem niczym. Numerem! I tylko jedno jest ważne. Przeżyć! Wróciliśmy do pracy. I tak już miało być od rana do południa - czyli do obiadu i od obiadu do kolacji i aby noc jak najdłużej trwała i znów Antretten! Wstawać! Schnell! Schneller! Los! Ruk-Cug! To nie może być lepiej. Ja was napierdola! Mützen ab! Mützen auf! Schnell! Ich will euch verraten. I tak dzień po dniu.

Po kolacji, której już nikomu nie oddałem, Bernard wrzasnął: "Entläusung"! Spojrzałem na kolegów. Zaczęli się rozbierać. Aby nie podpaść znowu, rozebrałem się również. "Entläusung" to odwezwawianie - szukanie wszy. Należy w szwach koszuli szukać wszy, lub ich larw. Skąd mogę mieć wszy, kiedy ich nigdy nie miałem, tę bieliznę, którą mam, otrzymałem kilka dni temu w Gross-Rosen? Wszy nie znalazłem, lecz znalazłem wiele larw. Wtedy 1-szego dnia ze wstrętem, lecz później już bez żadnych dodatkowych zbędnych wrażeń, zacząłem zabijać larwy, zgniatając je poznogciami. Koszulę oczyszczoną od wszy należało pokazać komisji, która skrupulatnie zbadała, czy w szwach nie ukryło się "zwierzę". Biada temu, u którego w koszuli znaleziono po "entläusung" wszę albo larwę. Zapisywano jego numer a blokowy lub sztabowy znęcali się nad biedakiem za to, że otrzymał zawszoną koszulę. Wszystkie koszule były zawsze przez niedokładne pranie.

Schlafen! Spać! Ruck-zug! /Były to dwa słówka Bernarda/. Należało się spieszyć. Wszystkie łóżka zostały zajęte. Pozostało nas kilkunastu bez miejsca w sypialni. Do czasu oddania trzeciego blo-

ku musieliśmy spać po dwóch. Mnie blokowy kazał zająć miejsce obok jakiegoś Rosjanina na "trzecim piętrze". Rosjanin przyjął mnie chętnie. Stale powtarzał, że "pouczę paczkę", co znaczyło, że otrzymam na pewno paczkę i zapewne liczył na to, że o nim nie zapomnę. Mój rosyjski kolega przeliczył się, bo nie otrzymałem paczki. Wprawdzie Rodzina w Warszawie otrzymała moją jedną, pierwszą kartę z Reichenau, że "jestem zdrowy i powodzi mi się dobrze" oraz, że wolno wysyłać mi paczki, ale w dniu 1 sierpnia 1944 r., czyli w 26 dni po naszym wyjeździe z Pawiaka, wybuchło w Warszawie Powstanie i z tym momentem przestały istnieć warunki do wysłania mi jakiegokolwiek paczki. Wszelkie nadzieje ustąpić musiały beznadziejnej rzeczywistości. W tej chwili ważne było, że zbliża się noc, że leżę na jakimś wyrku, wprawdzie nie sam, ale z dość czystym, jak na warunki obozowe towarzyszem niedoli i, że jutro będzie na śniadanie gorący płyn. W dalszym ciągu odczuwałem szalone pragnienie. Rosjanin stale powtarzał, że "pouczę paczkę", lecz ja byłem dziwnie zmęczony - zapewne miał na to wpływ bardzo ostry klimat - i zasnąłem.

Gong przy Schreibstubbie na II bloku i po chwili wołanie Nachtwachy "Aufstehen! Wstawać! Myć się! Sprzątać! Sauber machen!". Jakiś drab zatrzymuje mnie i trzech innych Zugangów w przedpokoiku bloku i każe zanieść olbrzymi kibel pełen moczu oddanego przez cały blok w ciągu nocy i wylać go w obozowym ustępie. Od żadnej pracy nie może być w obozie wykretów, więc dźwigamy ten kibel nieczystości po stromych schodkach i wylujemy gdzie należy. Niestety mydła nie ma aby przynajmniej po tej pracy przyzwolicie umyć ręce. Myję się więc samą wodą, wycieram we własną marynarkę i wracam na blok. Na placu spelowym łapie mnie blokowy z II bloku i mówi: "Bieri tragi i do kuchni po śniadanie!".

- "Co to są tragi?".

- "Ty pieronie, ja cię zaraz nauczę". Dostaje umiarkowanie w twarz. /Czy numer ma twarz?/.

Dwójkami - "post" na początku oddziału i na końcu - idziemy do kuchni znajdującej się poza obozem po śniadanie. Przynosimy termosy, margarynę, chleb i marmeladę. To wszystko dzielone jest na dwa bloki. Po raz pierwszy i ostatni w kotłach jest bardzo dobra - bo gorąca, jakaś trochę z mlekiem rozgotowana manna. Za jeszcze jedną porcję tej zupy oddaję swój chleb, ale już jest: "Antretten".

Ustawiamy się pod blokiem do apelu porannego. "Lagerälteste" w czystym, nowym pasiaku wymyśla nam od chacharów. Za furtką ukazuje się Braun, więc "Lagerälteste" krzyczy: "Das Ganze Still Stand. Mützen ab!" i melduje Unterscharführerowi obóz do apelu. Blokowi meldują bloki. Wszystko się zgadza. Wszyscy są. I "zugangi" i "muzulmanie" i "szarża" w czystych pasiakach.

- Śpiewać! Wrzeszczy "Lagerälteste".

To bardzo interesujące. Tego jeszcze nie słyszałem. Ktoś intonuje: "Willkommen frohe Sänger!". Cały obóz za wyjątkiem nas "zugangów", którzy jeszcze nie znamy słów piosenki, śpiewa.

Jest niedziela, dzień 9 lipca 1944 r. Piękny poranek letni. Na placu apelowym stoi około 400 numerów. Połowa z tego to "muzulmanie", którzy natychmiast winni znaleźć się w szpitalu, gdzie może po trzech lub czterech tygodniach jak najbardziej troskliwej opieki stali by się ludźmi. Tutaj ledwie stoją, a za chwilę będą musieli wziąć łopaty, kilofy, uchwycić w swoje jakby kościotrupie ręce, obciążone czymś, co kiedyś nazywało się ciałem, taczki i powlec się do pracy...

Ci ludzie, to numery - muszą śpiewać:

"Przybывajcie weseli śpiewacy"

"Będziecie tysiąckrotnie pozdrowieni"

"My śpiewamy wesołe piosenki"

La la la - la la la - la la la - la la la la -

La la la - la la la la -

- "Źle śpiewacie! Ja was napierdola!" Wrzeszczy "lagerälteste".

"Po obiedzie wszyscy uczyć się śpiewać. Mützen ab, Mützen auf, będzie Szport. Zugangi będą sam uczył! Do roboty!"

Jest niedziela. Pracujemy do południa. Po południu jest czas niby wolny, ale już zapowiedział "lagerälteste co nas czeka. Idziemy do pracy - jakoś czas mija.

Po obiedzie:

Antreten! Wychodzić! Ustawiać się!

- "Źle zdejmujecie czapki, źle wkładacie czapki! Ćwiczyć! Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf! To nie idzie być lepiej! Ja was napierdola! Bernard! Czego stoisz jak oni źle ćwiczą!"

Bernard bije na prawo i lewo!

- "Zugangi" zostają! Wszyscy raus! W szeregu zbiórka! Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf!"

- "Źle! Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! Padnij! Powstań!

Czołgać się!"

Rano był piękny poranek, ostre powietrze górskie, rosa - teraz jest upalny dzień - czołgamy się w tumanach kurzu! W oczach piasek, w gardle piasek, w nosie piasek. Doczołgaliśmy się do końca placu apelowego...

"Rollen! rollen! rollen! z powrotem! Aufstehen! Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf!"

- Gdzie masz guzik!

- Musiał mi się oderwać przy czołganiu!

- Głupie tłumaczenie.

Znow dostałem w twarz. A czy numer ma twarz czy mordę?

- Gdzie masz numer?

- Chcę pokazać numer żelazny, który mam na szyi.

- Pytam o numer na marynarce?

- Przyjechałem wczoraj...

- Kłamiesz, przyjechałeś przedwczoraj.

Było już po apelu...

Znow dostałem w mordę! A czy ja mam mordę czy twarz?

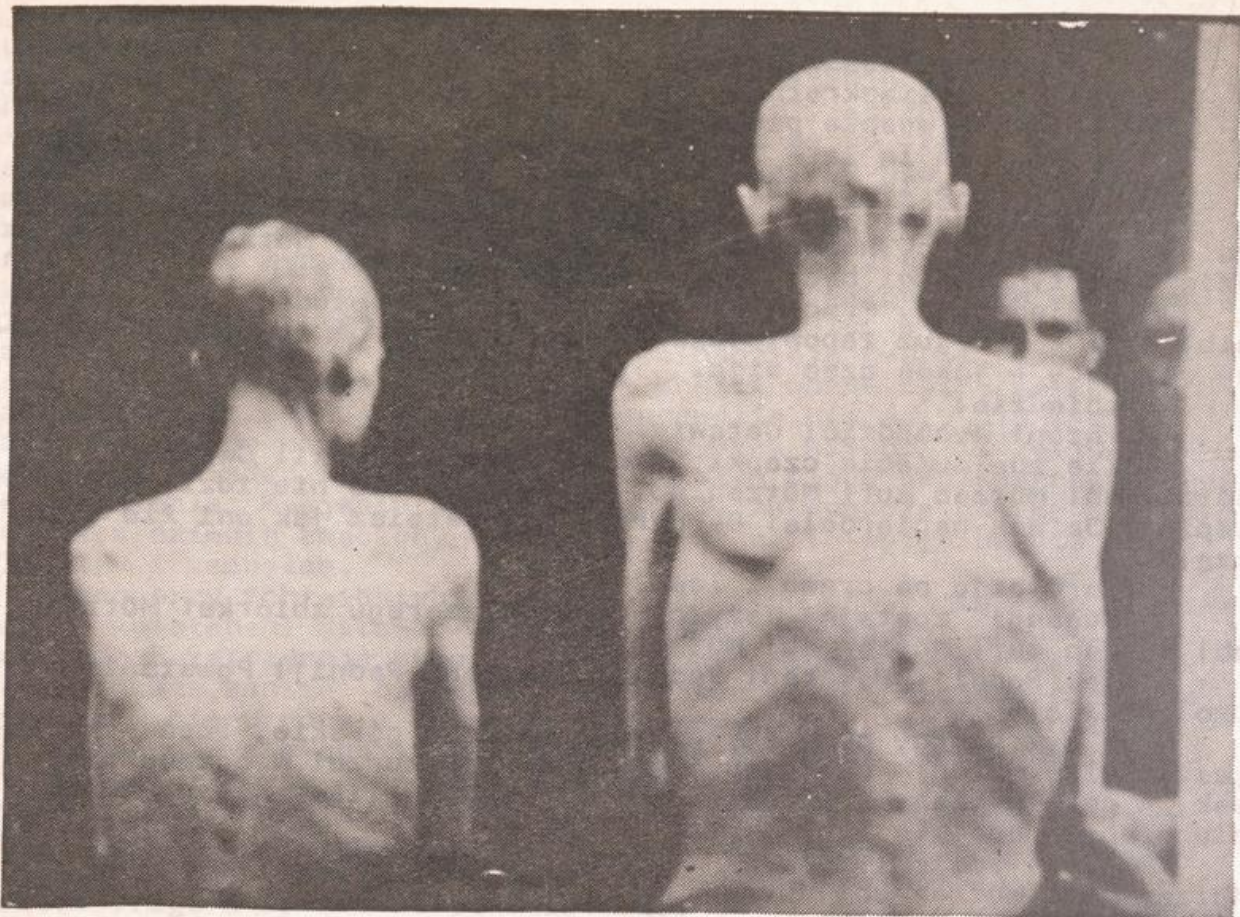
Podobne szykany spotykają kolegów. Od bicia mamy czerwone mordy. Na szczęście jeszcze w obozie na długo przed jego wyzwoleniem okaże się, że wszyscy, nawet kompletni muzułmanie, mamy twarze - ale o tym we właściwej chwili. Teraz od początku: Mützen ab! Mützen auf! Mützen ab! Mützen auf! To nie może być lepiej? Ja was napierdola! Padnij! Powstań! Czołgać się! Aufstehen!

Wyglądacie jak świnię! Coście zrobili z nowymi ubraniami? Co to jest?!

Blokowy wskazuje na rozerwaną marynarkę. Zrezygnowany kolega nie odpowiada. W każdym wypadku dostaje w twarz.

Raus! Do "waschraumu"! Myć się! Oczyszczyć ubrania! Co nam zrobiono z pięknego, lipcowego dnia!

Gdzie jest ktoś, kto ma serce jak plaster miodu. Tego serca nie zaznałem od wielu miesięcy. Otrzymałem jedynie kartki pisane ręką Matki. Tutaj? Co tutaj jest? Poza najpiękniejszymi myślami o Matce nie ma zbyt wiele. Jest bardzo nadzieja i w tej chwili jeszcze dość duże pragnienie przeżycia, szczęśliwego powrotu i spotkania z Matką.



Zdjęcie chorych z rewiru wykonane przez
dziennikarzy czechosłowackich w dniu
8 maja 1945 roku

Nr archiwum 3.9.1.29

Jechaliśmy z nadzieją, że jedziemy do pracy, do jakichś minimalnie choćby znośnych warunków, choć za drutami kolczastymi - przyjechaliśmy do jakiejś straszliwej dziury, w której jest pełno bandytów i każdy z nich jest panem życia i śmierci. Czy będzie można to przeżyć? Będzie to bardzo trudne. Zobaczymy, co będzie jutro. Co przyniesie jutrzejszy dzień.

Każdy dzień następny jest dniem bliżej nieokreślonym. Jeśli będę pamiętał, że coś stało się ściśle określonego dnia, nie zapomnę o tym napisać. Każdy dzień rozpoczyna się bardzo wcześnie dźwiękiem jakiegoś przedmiotu metalowego, o który ktoś uderza młotkiem czy kawałkiem drewna. Po tym dźwięku następowały wrzaski: Aufstehen! Wstawać! Sprzątać! Schnell! Schneller! Szybciej! Myć się! Na I-szym bloku łóżko ślał zawsze Rosjanin, z którym spałem. Miał na imię chyba Mikołaj. Miał okrągłą, różową twarz, lecz w sobie był już bardzo szczupły. Usługiwał chyba oprócz pracy zasadniczej "lekarzowi" i z tego tytułu otrzymywał od niego jakieś "zulggi". Dzięki temu, jakoś żył. Los Rosjan w obozie był wyjątkowo godzien pożałowania z tego względu, że nigdy nie otrzymywali jakichkolwiek paczek. Wielu z nich w naszym obozie przeżyło dzięki pracy w fabryce, gdzie praca nie była tak ciężka, jak we wszystkich komandach budowlanych, które z zasady doprowadzały wszystkich więźniów do stanu kompletnego wyczerpania. Wielokrotnie z naszego obozu byli odwożeni do Gross-Rosen kompletni muzułmani. Na ich miejsca przyjeżdżali nowi więźniowie zdolni do pracy, czy to w fabryce czy też w "baukolonnie". Pamiętam pewnego Rosjanina. Gdy przyjechał do Reichenau był niskim, krępym, mocnym chłopakiem. Został skierowany do Baukolonne. Po kilku miesiącach /dwóch lub trzech/ przyszedł na drugi blok, na którym wtedy byłem, z prośbą do blokowego, aby go w jakiś sposób wspomógł. Był tak chudy, że obecnie wydał mi się wyjątkowo wysokim, starym chłopcem. Czasy się już bardzo zmieniły i blokowy, który kiedyś nazwałby proszącego Speckjäger /myśliwy, polujący na słoninę/ i co najmniej raz a dobrze walnął - teraz po prostu powiedział, że w niczym pomóc nie może. Rosjanin z godnością odeszedł. W najbliższym transporcie - może następnego dnia - jako muzułmanin niezdolny do jakiegokolwiek pracy został z grupą podobnych sobie nieszczęsnych ludzi odwieziony do Gross-Rosen.

Po tych krótkich wzmiankach o dwóch rosyjskich towarzyszach niedoli, spróbuję opisać przeciętny dzień w obozie na II bloku, w pierwszym okresie mojego tam przebywania. W sali zwanej Tagesraum stały stoły i stołki oraz kilka łóżek jak nasze w sypialni piętrowej dla blokowego, sztabowego i ewentualnie kilku innych "häftlingów", którzy nie pełnili żadnych funkcji, lecz z tytułu swego zawodu lub narodowości oraz tłoku w ogólnej sypialni tutaj zostali umieszczeni. Stoły były idealnie czyste. Stale skrobane szkłem lub papierem szklanym. Do jedzenia odwracało się wierzchy stołów na drugą stronę, tak aby strona "prawa" była zawsze nieskazitelnie czysta. Podłoga była nasycona jakąś ciemną pastą. Nie wolno było wejść do sali w butach. Należało je zdjąć w przedsionku i chodzić po bloku w tak zwanych "fislingach". Były to jak gdyby skarpetki - lecz uszyte z dwóch kawałków materiału. Prawdopodobnie szyli je więźniowie w Gross-Rosen z wszelkiego rodzaju gorszych ubrań więźniów. Buty wносиło się ze sobą i stawiało pod stołem, przy którym się siedziało. Pamiętam, że otrzymałem w Gross-Rosen zupełnie znośne drewniaki, lecz nie klapki, jak jedne z następnych, ale kamasze. Niestety, już po kilku dniach zapewne któryś z "baukolonne" przywłaszczył je sobie. Przezornie, nie skarżąc się nikomu - wzią-

że te jakieś marne buty, które tamten pozostawił i na tym się skończyło, ale byłem rozgoryczony, bo buty były wygodne.

Po kilku dniach zacząłem już odczuwać głód.

Pewnego wieczoru, gdy wraz z innymi czekałem na rozdzielanie kolacji - kiwnął na mnie sztabowy Czech. Gdy podszedłem, spytał: "Ilu masz ludzi?". Naszego stołowego w tym momencie nie było, a on chciał skończyć rozdzielanie chleba i margaryny. Nie wiedziałem, ilu jest nas wszystkich przy stole i w ogóle nie byłem przygotowany na rozdzielanie chleba i margaryny między zgłodniałych kolegów, więc powiedziałem: "nie wiem". Czech tak mnie walnął w twarz, że znowu przez moment nie wiedziałem gdzie jestem i co się ze mną stało. Ludzkie bydlę spokojnie powiedziało: "Ab!". Odszedłem, ale w głowie mi szumiało.

Przyszedł nasz stołowy i pobrał chleb, margarynę i marmeladę buraczaną. W znośnym spokoju zjedliśmy kolację. Niestety tego dnia nie pisany był nam spokój. Na blok wpadł "lagerälteste" i wrzasnął: "Zugang! Antretten!".

Aby znowu nie podpaść, wybiegłem jeden z pierwszych. Stałem się dwójkami. Było nas około trzydziestu. "Lagerälteste" wziął nas tylko dziesięciu do rozładowania jakichś skrzyń z samochodu. Reszta szczęśliwie wróciła na blok.

Skrzynki były ciężkie, a "lagerälteste" poganiał nas i bił. "To nie idzie być szybciej?! Ja was napierdola! Znowu spadło na mnie kilka bolesnych uderzeń. Postanowiłem pilnować się i wykonywać prace jeszcze cięższe, aby tylko nie być bitym, ale przekonałem się, że w zetknięciu ze zbrodniarzami nie ma żadnych reguł i żadnych zasad, a wszystkie zależy od fantazji "Übermenscha".

Nareszcie skrzynie przeniesiono z samochodu i złożono w stosy. Wróciliśmy do obozu.

"Myc się i spać!"

Powlekliśmy się do "waschraumu". Rozebrałem się do pasa.

"Umyć nogi!"

Obmyłem zimną wodą twarz i szyję, podniosłem i włożyłem do koryta prawą nogę i trochę ją obmyłem. Rozejrzałem się wokół, bo nie miałem siły podnieść, włożyć do koryta i obmyć lewej nogi - w "waschraumie" nie było żadnego przesładowcy - więc zrezygnowałem z mycia lewej nogi. Wróciłem na blok. Na szczęście było już po odwszawianiu więc wolno rozebrałem się i wszedłem do "sypialni". Z największym trudem wdrapałem się na III-cie piętro do swojego Rosjanina. Mikołaj coś mi szeptał, że pouczę paczkę, ale ja nie miałem siły utwierdzić go w tej naszej wspólnej nadziei. Usnąłem.

Dzień któryś.

Daleki odgłos gongu, do którego można się przyzwyczać i niedługo po nim okropne: "Aufstehen! Wstawać! Ruszać się gnojki! Ruck-zug! Słać łóżka! Zamiatać! Sprzątać! Myć się! Ruszać się! Zugang! po śniadaniu! Bierz tragi!".

Nasz przyjazd do obozu jest ratunkiem dla kilkudziesięciu muzułmanów. Przez kilka tygodni, do każdej dodatkowej pracy widzi się tylko nas. Za kilka tygodni przyjedzie nowy Zugang lub my staniemy się muzułmanami. Zanim to nastąpi może uciec z tego piekła? Pewna dość liczna grupa więźniów wychodzi codziennie trzy razy poza teren obozu po śniadanie, obiad, kolację! Może uciec, póki ma się jeszcze trochę sił? Trzeba rozpatrzyć wszystkie "za i przeciw". Miejscowość, w której jesteśmy, to taka większa wioska ze stacją kolejową i dużym budynkiem fabrycznym. Nasz obóz leży właściwie na krańcu tej wioski. Przed obozem na południe jest dworzec kolejowy. Za nim trochę na prawo jakiś obóz pracy /widzimy dużo

ludzi chodzących koło dworca/. Od nas na wschód jest teren fabryczny z kilkupiętrowym budynkiem. Między terenami fabryki, a naszym obozem jest kuchnia, do której chodzimy po śniadania, obiady i kolacje. Za obozem na północ jest jakieś gospodarstwo. To samo na zachód. Dalej na północ i zachód pola i gdzieś niegdzie jakieś gospodarstwo. Na pewno w tych gospodarstwach są Niemcy, ale pewnie starsi i młodzież - Hitlerjugend. Ci byłiby dla nas uciekinierów najgorsi.

Jest gorący lipiec i w dalszym ciągu chce mi się pić, więc piję wodę z kranów. Dostaję biegunki. W czasie przerwy obiadowej zgłaszam się do "lekarza", Ukraińca, który daje mi kilka tabletek węgla.

- "Czy mam jeść panie doktorze, czy powstrzymać się od jedzenia?"

- "Jeśli nie będziesz jadł to umrzesz".

Jest to właściwie moja pierwsza i ostatnia rozmowa i porada u lekarza obozowego. Na moje szczęście biegunka minęła po jednym dniu. Na pewno pomogły mi te tabletki węgla. Instyktownie unikałem rewiru obozowego. Pamiętam, że jednego z kolegów rozboleła ząb, więc poszedł na ten "rewir". Właśnie przyszedł "lagerälteste". Gdy się dowiedział, o co chodzi, kazał sobie przynieść kombinerki. Mimo protestów kolegi, "uśmierzonego" brutalnym uderzeniem w twarz, "lagerälteste" kombinerkami wyrwał koledze bolącego zęba. Bardzo był z siebie zadowolony i pytał kogo jeszcze boli ząb. Nikogo więcej nie borał żaden ząb.

Mimo, że nas nie zabijano w dosłownym znaczeniu tego słowa, to jednak życie stawało się coraz cięższe i trudniejsze. Traciliśmy siły z każdym dniem, byliśmy głodni bez przerwy. Wyznaczono nas sześciu, czy ośmiu, do grupy transportowej. To była najcięższa praca. Stale brano nas do przywożenia z terenu fabryki do obozu części aparatów radiowych, lub innych rzeczy. Do obozu nie było drogi bitej, tylko polna, w czasie deszczu pokryta błotem, w którym grzęzło się po kostki. Wóz ciężki, my - konie słabi i droga pod górę. To było jak droga krzyżowa, gdyż bito nas boleśnie witekami, gdy nie mogliśmy podjechać do obozu. Chyba uratowała nas następna grupa "häftlingów".

Pod koniec sierpnia, lub na początku września, ukończono trzeci barak. Był to wielce szczęśliwy dzień. Zostałem tam przeniesiony i otrzymałem łóżko dla siebie. Było to jak jeden jasny promień, bo nic się dalej nie zmieniło. Wstawanie o świcie - mycie nie mycie bez mydła w zimnie - głodne śniadanie - praca - głodna miska zupy w południe - praca - głodna kolacja - i aby móc się położyć i zasnąć. Niestety, często wracając z pracy zastawaliśmy sypialnie zburzone jakoby wobec tego, że nie utrzymywaliśmy ich w porządku. Wszystkie deski, sienniki i koce leżały na ziemi. Wśród wrzasków blokowego, sztabowego, schreibera i innych, trzeba było zrobić porządek, umyć się i dopiero następowała kolacja, po której myślało się, jakie to szczęście najeść się do syta chleba.

Pójdziemy nareszcie spać.

- "Antreten! Antreten! Wszyscy na plac apelowy". "Lagerälteste" każe wybrać tych, co pracują w fabryce.

- Wszyscy oni mają tęcić drogę. Od bramy do baraku fabrycznego. Brać taczki. Wozić kamień. Układać kamień. Ruszać się! To nie może być szybciej? Ja was napierdola! Czy my to przeżyjemy? Wielkie kamienie leżą za bramą obozową - trzeba je kłaść na taczki i wozić kilkadziesiąt metrów, zrzucać i układać.

- To nie idzie być lepiej?

- To nie idzie być szybciej?

Czy my to przeżyjemy?

- Ja was napierdola! Mit Laufschrift marsch! marsch!

- Bernard! Jak oni pracują?! Ty nie masz na nich kija?!

Czy to ktoś zrozumie? Czy to zdoła sobie wyobrazić? Przecież mamy ładny, jesienny dzień! Ludzie dla ludzi stali się najgorszymi zwierzętami.

Słońce już dawno zaszło - gdy nam pozwolono iść spać.

Myć się wy brudasy i lenie śmierzące!

- Panie! czy możesz tak spokojnie na to wszystko patrzeć.

Dlaczego przynajmniej piorun nie trzaśnie

w to samotnie stojące drzewo lub w komin fabryczny.

W nocy budzi nas ciche wołanie jednego z nas:

- "Kapez, Merhard" - to woła stary Jugosłowianin swoich dwóch, dużo młodszych pobratymców.

- Kapez, Merhard - mówi do nich zanikającym głosem. Coś im mówi. Wpada blokowy z wrzaskiem - bo jeszcze dwie godziny do dzwonka porannego i można jeszcze spać, a ktoś coś gada - lecz wychodzi bez słowa. My też milczymy. Jugosłowianin umiera dość długo. Coś jeszcze mówi. Kapez i Merhard coś mu odpowiadają.

Stu ludzi, których nieludzki ustrój chciał zmienić w numery, uczestniczy w śmierci jednego z nich. Jugosłowianin umarł.

Rozległ się gong. Rozpoczął się zwyczajny dzień w obozie koncentracyjnym. Poszła łóżko! umyć się, ukryć się, aby nie iść po śniadanie, czekać na kawałek chleba, odrobinę margaryna i odrobinę marmelady buraczanej i "antreten"!!

- Das Ganze still stand! Mützen ab! Mützen auf! Do roboty! To nie idzie być szybciej?! Ja was napierdola! Dzień jak poprzednie, tylko robi się zimniej, bo już listopad i coraz głodniej. Jak przeżywają ci z grupy budowlanej? Niestety, po dwóch, trzech miesiącach stają się niezdolnymi do pracy "muzułmanami" i są odwożeni do wykończenia do Gross-Rosen. Na ich miejsce przybywają nowi - przybyli niedawno z różnych więzień do Gross-Rosen. Za dwa, trzy miesiące staną się muzułmanami i zostaną odesłani do Gross-Rosen na "wykończenie". Ja jeszcze żyję, bo pracuję w fabryce. Wprawdzie nie otrzymuję "zulagi" - kawałka chleba i plasterka końskiej kiełbasy, ale cały nieomal dzień, za wyjątkiem najtrudniejszych prac dodatkowych, siedzę pod dachem. Mimo to, wszyscy tracimy na wadze, stajemy się coraz słabsi. Zabija nas praca, głód, zimno, brak snu, bicie, niepokój o nas i naszych bliskich. Co się stało z Powstaniem Warszawskim, z wszystkimi mieszkańcami Warszawy. Mniejsza z tym wszystkim. Żeby zdobyć jakimś cudem kawałek chleba! chleba!!

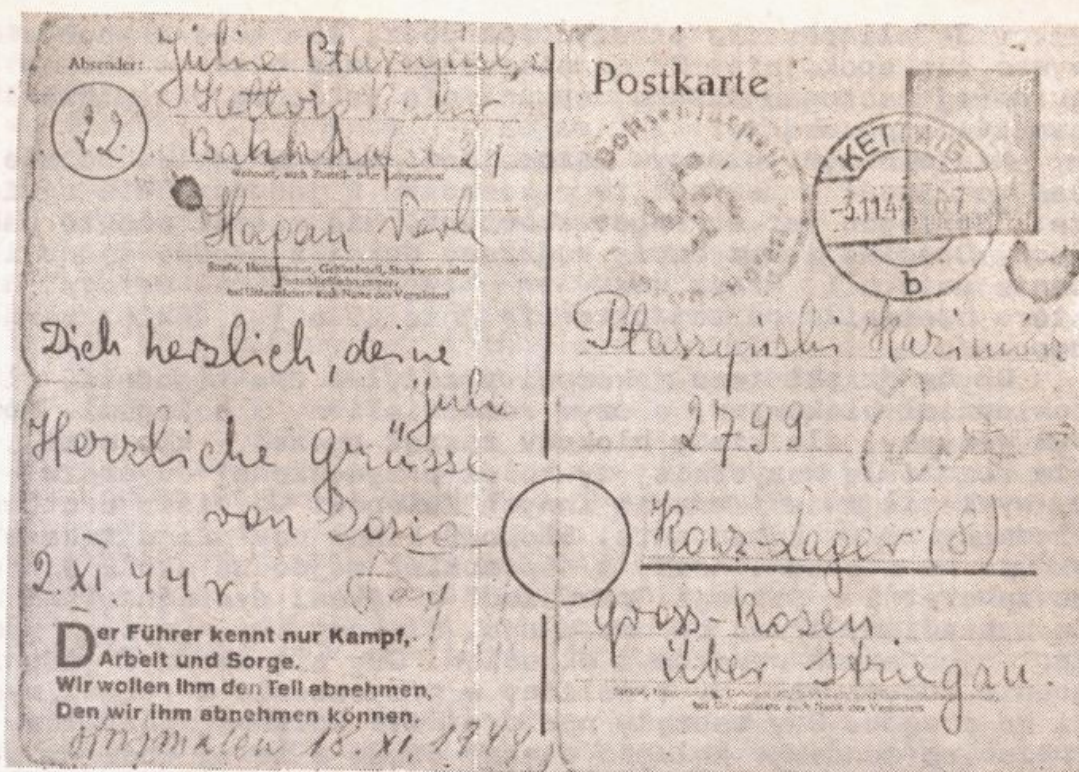
Przywożą do obozu nowych "haftlingów". Są to Warszawiaczy wywiezieni z Warszawy po Powstaniu. Niektórzy z nich brali udział w Powstaniu, ale do tego przyznają się tylko niektórym z nas i po pewnym czasie. Boją się konsekwencji. Życie płynie normalnym głodnym, zimnym nurtem. Antypatyczny więzień - chyba volkedeutch B. mówi:

- Ta trumna co stoi za rewirem to jest dla T.

T. nie wytrzymuje nerwowo i idzie na skargę do Lagerführera. Następnego dnia po apelu porannym Komendant obozu woła B.

- Coś powiedział wczoraj T.

B. płacze się /mówi po niemiecku/, chce obrócić wszystko w żart. Komendant uderza go kilka razy w twarz i każe wracać do szeregu. Następnie mówi:



Mein lieber Bruderchen! Ich habe mich sehr erfreut,
als ich die Nachricht von Dir erhalten habe.
Ich habe einen Teil unserer Familie
gefunden und habe Ihnen deine Adresse
übersandt. Ich hoffe, dass Du in der
nächsten Zeit die Nachricht von Ihnen
erhältst. Schreibe mir ob ich nach Dir
in polnischer Sprache schreiben kann,
und ob es erlaubt ist, die Briefe oder
Karten schicken. In der letzten 14 Tagen
arbeite ich beim Bauer im Felde, ich arbeite
in der Ebene von Essen (Südn). Ich spreche sehr
oft Französisch mit den Frauen die hier
arbeiten. Fühle dich ein bisschen, dass wir uns
sich schon könnten schreiben sehr oft. Ich liebe

List otrzymany w obozie przez Kazimierza Ptaszynskiego
w dniu 18 listopada 1944 roku pisany przez siostrę
Julię Ptaszynską z Kettwig

Nr archiwum 1.5.3.5

- Jeżeli chcecie przeżyć ten obóz, to macie pracować i zachowywać się spokojnie. Od dzisiejszego dnia bicie w obozie jest najsurowiej zabronione. Kto dopuści się jakiegoś przewinienia, to ja osobiście go ukarzę!

Nie wierzymy własnym uszom. Komendant w jakimś sensie obiecał nam możliwość przeżycia tego koszmaru i jednocześnie oświadczył, że: "Schlagen ist strenget verboten". Nie mieści się to nam w głowach. Choć i bez bicia będziemy dalej z głodu, zimna i wyczerpania umierali. Przez dwa - trzy tygodnie bicie ustaje. Bicie, które nastąpiło po tej przerwie, nie było już tak straszne jak poprzednio.

Chyba dzięki temu zakazowi przeżyłem dwa tygodnie, kiedy to O. powiedział blokowemu, o czym rozmawialiśmy z kolegami. Mówili o tym wszyscy, ale kiedy blokowy zaczął ryczeć - kto mówił, że się nie rozdziela wszystkim żywności przynoszonej do obozu - usłużny O. wymienił mnie i trzech innych kolegów. Od bicia uratował nas niedawny zakaz komendanta. Blokowy kazał nam wziąć taborety, ustawić je na stołach. Każdy z nas musiał wejść na stół, a następnie na taboret i w pozycji "przysiad" z rękami wyciągniętymi do przodu musieliśmy trwać bardzo długo. Blokowy zaś wymyślał nam używając najgorszych wyrazów i określeń. Gdy się zmęczył gadaniem, wygodnie odpoczywał. My trwaliśmy w przysiadzie z rękami wysuniętymi do przodu. Gdy zaczęły nam drętwieć kolana, zaczęliśmy się poruszać, przenosząc kolejno ciężar ciała z lewej nogi na prawą i znowu na lewą, aby wytrwać w męczącej pozycji. Blokowy był nareszcie zadowolony.

- No! Zaczyna wam być dobrze!

Jeden z nas zaczął prosić blokowego o przebaczenie. Obiecywał, że już nigdy nic nie będzie mówił. Nic to nie pomogło. Z opresji wybawił nas chyba Schreiber obozu, który przyszedł na blok i znał całą sprawę i polecił blokowemu zamienić karę.

Z trudem udało się nam zejść z taboretów i ze stołów. Przez dwa tygodnie musieliśmy za karę myć przy swoich stołach wszystkie miski i łyżki, a następnie kilka razy blokowy dał nam po kawałku papieru ściernego i kazał nam, oczywiście na kolanach, czyścić żby śrub w podłodze przez cały wolny czas po obiedzie i po kolacji.

Chyba wtedy zacząłem modlić się co rano. Po wyjściu z bloku, schodząc po kilku schodach i następnie idąc drogą obozową do Waschraum, mówiłem jedynie tyle: "Bądź pozdrowiony Wszechmogący Wieczny Boże. Ten obóz jest za słaby, aby mnie wykończyć". Jak widać Bóg mi wybaczył moje niesamowite zuchwałstwo, czy pewność siebie, i obóz przeżyłem.

Blokowym, który nas tak prześladował, był Emil. Teraz blokowy bloku III, przedtem II-go.

Dodatkowo za karę przeniesiono nas na gorący blok II. Panował tam niesamowity bałagan. Dano nam łóżka w II sypialni. Chyba lepiej było być na bloku III i czyścić śruby w podłodze, niż być tu teraz i żyć bez żadnych dodatkowych szykan na II bloku i w II sypialni. Na szczęście trwało to chyba tylko tydzień - musiał odejść jakiś transport "muzułmanów" do Gross-Rosen i przeniesiono nas do sypialni I-szej. Postępy na frontach spowodowały zmianę w obozie. Terror zelżał. Lecz głód, zimno, strach i niepokój, robiły swoje. Ludzie "muzułmanieli" lub popadali w apatię. Szła zima. Z apatii wyrwał nas trochę komendant obozu. Jakies trzy tygodnie przed Świętami Bożego Narodzenia, po apelu porannym, powiedział:

- Zbliżają się Święta więc trzeba dla dzieci zrobić zabawki. Dzieci są dziećmi /ciekawa zmiana u hitlerowca i SS-mana/ i muszą

się cieszyć w czasie Świąt. W fabryce macie różne odpadki materiałów, więc zróbcie dzieciom zabawki - & poszedł.

- Do pracy! krzyknęli blokowi - więc poeszliśmy do fabryki. Dzieci są dziećmi. To prawda, tylko że dzieci polskie z Zamojszczyzny zamarzały w wagonach kolejowych, a dzieci żydowskie są gazowane w komorach gazowych. Dzieci są dziećmi! Może i naszym dzieciom ktoś zrobi coś dobrego na Boże Narodzenie.

Bez entuzjazmu zrobiliśmy dzieciom niemieckim kilkadziesiąt a może sto kilkadziesiąt zabawek. Wszyscy zeszli o jeden stopień ze szczytu wrogości. Wprawdzie Wigilię przesunięto z soboty na niedzielę ale przeżyliśmy jakiś inny spokojniejszy dzień. Nie goniono nas jak zwykle, a na kolację była misa gęstej grochówki, po kawałku ciasta i po trzy jabłka. To wszystko było zupełnie niezwykłe.

W przeddzień tego dnia, a więc w rzeczywisty dzień wigilijny, otrzymałem kartkę od brata Edwarda z obozu jeńców wojennych. Nie była ona wprawdzie adresowana do mnie, lecz do Komendanta Gros-Rosen, z prośbą o informację, czy jestem w tym obozie. Kartkę skierowano do Reichenau i tak oto dowiedziałem się w dniu wigilijnym, że mój brak przeżył Powstanie i jest w obozie jeńców wojennych. Ponieważ słabo znam język niemiecki, kartkę tłumaczył mi Andrzej Wojnar.

Dni stawały się coraz trudniejsze, bo nastąpiły silne mrozy. Prawdopodobnie dla ludzi normalnie ubranych i dobrze odżywionych była to zwyczajna, przeciętna zima. Nam było coraz trudniej. Wobec kilku stwierdzonych wypadków gruźlicy - aby jej przeciwdziałać wprowadzono w obozie gimnastykę poranną. Staliśmy więc co rano na kilkunastostopniowym mrozie i gimnastykowaliśmy się, aby nie dostać gruźlicy. Pamiętam co najmniej trzech chorych na gruźlicę: Morzyzek, Karasik - trzeciego nazwiska nie pamiętam.

Chyba w połowie stycznia 1945 r. przyszedł nowy transport więźniów w miejsce odesłanych do Gross-Rosen "muzulmanów". Byli to więźniowie z Oświęcimia. Byli - jak na warunki obozowe - dobrze ubrani - w porządnym ubraniu, w skórzanych butach - przeważnie pełnili jakieś funkcje w Oświęcimiu więc przeżyli. Tutaj trafili na czasy, kiedy Niemcy byli już skutecznie bici ze wszystkich stron. Oświęcim opuścili przed nacierającymi wojskami rosyjskimi. Zaczęła świtać nadzieja wolności, bo chyba przez kilka dni w lutym, w czasie apelów porannych, słyszeliśmy dalekie odgłosy dział artyleryjskich. Mimo to wszystko w obozie szło utartym trybem. Wstawanie o świcie, niby mycie w lodowatej wodzie, gimnastyka jako lekarstwo przeciw gruźlicy, nędzne śniadanie, apel, "Mützen ab", "Zum Arbeit", niewolnicza praca, misa wodzianki na obiad i znów niewolnicza praca i znów głodowa kolacja i stały głód i wieczne zimno i odważawanie i stale wśród wrzasków "mit laufschritt" i stale uderzenia /już zapomniano o zakazie komendanta, że "schlagen ist strengst verboten". Nareszcie upragniona noc, przerywana niestety stałym wstawaniem - nawet 5 razy w ciągu nocy - aby oddać mocz.

W pracy zaczynało brakować części do montażu. Spotkała mnie rzecz bardzo przykra - przenieśli mnie z "Prüfelta" do pracy poza obozem w głównym budynku fabryki. Odprowadzano nas kilkadziesiątciu tam co rano i przyprowadzano z powrotem do obozu. Pracy w fabryce było coraz mniej - nie dochodziły części. Zaczęto nas brać - była wczesna wiosna - do kopania rowów strzeleckich. Rozumieliśmy, że front się przybliżył, że Niemcy będą już stale opuszczali dotychczasowe pozycje i wycofywali się na nowe. Może jednak

przeżyjemy - choć dojście do miejsc kopania rowów strzeleckich, łupanie jeszcze zmarzniętej ziemi kilofami i kopanie rowów głębokości do 1,5 m kosztowało nas wiele trudu. Traciliśmy siły - było strasznie zimno - kazano nam się śpieszyć. Front zbliżał się. Po wykopaniu niezbędnych okopów dla Niemców, co z przerwami trwało około trzech tygodni - wróciliśmy do pracy w fabryce z tym, że coraz częściej brakowało części do montażu urządzeń.

Nadchodziła wczesna wiosna. Ja, Walerian Stępnia i Grzegorz Ostroś postanowiliśmy uciec z obozu. Sprzętu do cięcia drutu w ogrodzeniu mieliśmy dosyć. Z największym strachem przyniosłem szczypcę do cięcia drutu z fabryki poza obozem. Wiedzieliśmy, że ogrodzenie z drutu kolczastego na izolatorach jest pod prądem, ale zauważyliśmy, że brama, która również była zadrutowana i normalnie winna być pod prądem nie jest połączona z całym ogrodzeniem, gdyż przez częste otwieranie drut się ukruszył. Od dłuższego już czasu ze względu na zaciemnianie obóz nie był oświetlany. Postanowiliśmy uciekać przez wycięcie otworu w bramie. Datę ucieczki ustaliliśmy na dzień 2-giego kwietnia, a raczej w nocy z 2-go na 3-go kwietnia. 1-go i 2-go kwietnia była Wielkanoc i liczyliśmy zupełnie szlusznie, że po tych dwóch dniach względnego odpoczynku będziemy mieli więcej siły, aby uciekać. Brak czasu na opisywanie tych denerwujących przeżyć. Najważniejsze: Tej pamiętnej nocy Grzegorz Ostroś miał "nachtwachę". Natychmiast po jej objęciu obudził mnie i Stępnia, przy czym przygotował nam najlepsze cywilne ubrania i buty Oświęcimaków. Wyeunęliśmy się z baraku, co było niedopuszczalne, i w piwnicy za szczytem II bloku ubraliśmy się w to, co mieliśmy. Niestety Walerian Stępnia nie znalazł narzędzi w miejscu, w którym miały być złożone. Po kilku minutach bezskutecznego ich szukania, przerażeni myślą o wyspie, rozebraliśmy się i wróciliśmy kompletnie wyczerpani psychicznie na blok. Ubrania porzuciliśmy w przedsionku za kibel i wpadliśmy do sypialni. Okazało się później, że w ostatniej chwili narzędzia zostały złożone chyba przez Grzegorza w innym, lepszym miejscu, o czym zapomniał nas powiadomić. Jego gorące prośby, abyśmy spróbowali raz jeszcze natychmiast uciekać nie mogły odnieść pozytywnego skutku. Byliśmy ze Stępniakiem moralnie rozbici. Następnego ranka na bloku panował niesamowity bałagan i piekło - bo wprawdzie Grzegorz pełniąc dalej w nocy "nachtwachę" - położył gdzieś ubrania i obuwie Oświęcimaków przy stole, przy którym siedzieli, ale to wszystko było tak pomieszane, że z trudem każdy znalazł swoje ubranie.

My trzej przez kilka dni chodziliśmy po obozie jak po najgorszej chorobie, mając każdy do każdego żal - o co? Może się lepiej stało. Przeżyliśmy. Nie wiadomo co by nas spotkało po ucieczce.

Był kwiecień. Którego dnia w samo południe usłyszeliśmy daleki, głuchy odgłos nadlatujących samolotów, który potężniał z każdą chwilą. Po chwili - na znacznej wysokości - na pewno około 4000-5000 m zobaczyliśmy nadlatujące z południa, olbrzymie samoloty uformowane w idealne klucze. Jedne z nich były niebieskie, inne czarne. W każdym kluczu było 9 może 11 samolotów. Wszystkich razem - kilkadziesiąt. Samoloty leciały jak na defiladzie. Mimo, że leciały bardzo wysoko, ziemia drżała a szyby w oknach dzwoniły. Modliliśmy się chyba wszyscy, aby nie ta fabryka była ich celem. Nic by z nas nie zostało. Przeleciały na północ. Po niedługim czasie doszły do nas odgłosy jakiegoś potężnego bombardowania. Po tym przelocie jeden z kolegów Walerian lub Grzegorz zaproponował - może jeszcze raz spróbować uciec? Odpowiedziałem - wojna skończy się wkrótce.

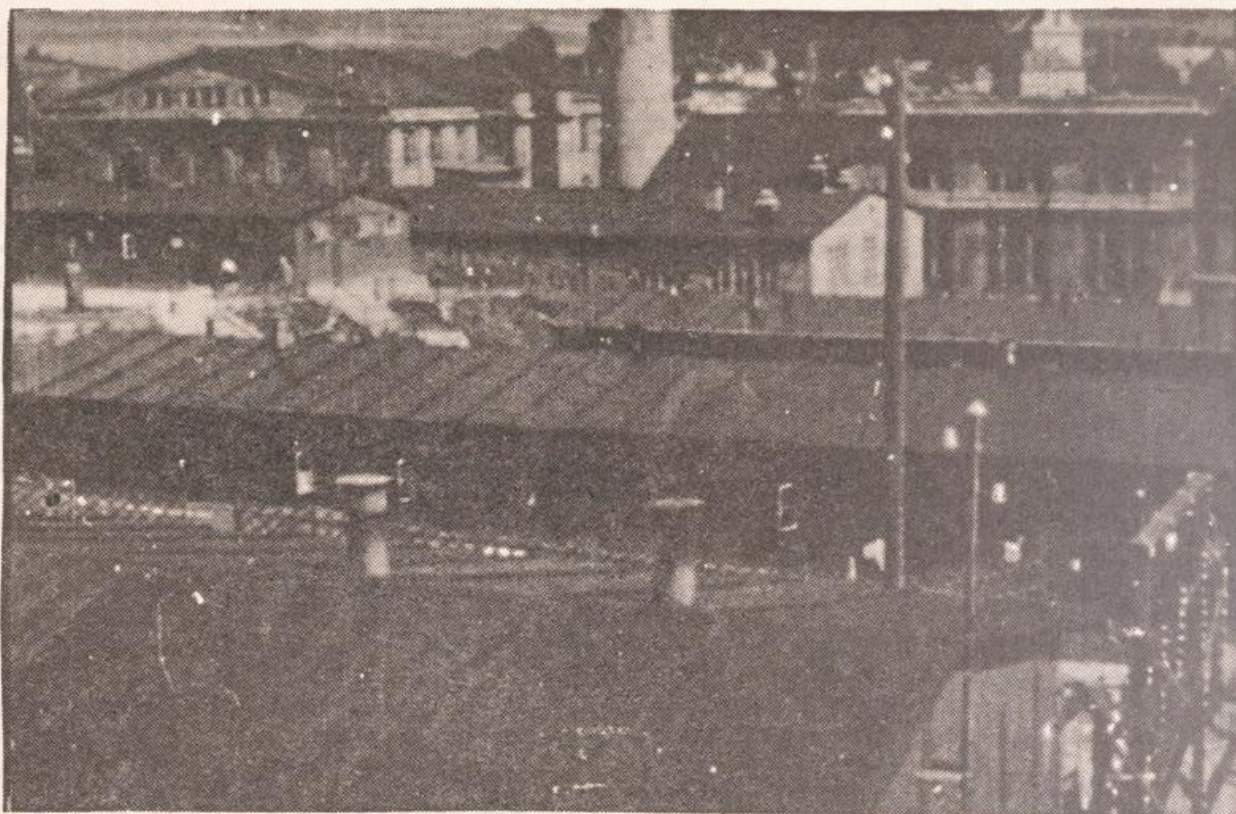
Czasy zmieniały się gruntownie. Oprócz kilku oficerów SS, którzy przybyli do Reichenau z Gross-Rosen, bo musieli opuścić ten obóz na skutek uderzeń wojsk radzieckich - do obozu przybył jakiś Unterscharführer, który zachowywał się zupełnie przyzwoicie, a poza tym zmienił się "Lagerälteste". Odszedł stary, który stale wrzeszczał: "wy chachary ja was napierdola", a na jego miejsce przyszedł inny, też zachowujący się w miarę przyzwoicie. Widocznie komendanci obozów obiecali "lagerältestrom", że ich pozmianią przed końcem wojny, aby za wierną służbę Hitlerowi nie zostali powieszani przez "häftlingów".

Oficerowie SS czuli się najbezpieczniej w obozie. Chodzili po niewielkim jego obzearze i nawet nie kazali się sobie kłaniać. Jak to się czasy zmieniły!

Nadszedł kres obozu. Ewakuacja obozu nastąpiła o świcie dnia 8 maja 1945 r. Wyprowadzono nas wszystkich z obozu jakoby celem przekazania partyzantom, czy jakimś władzom Czechosłowackim. Po dojściu do szosy skręciliśmy w prawo, natomiast komendant obozu Braun, jego zastępca Hofman i kilku wartowników oraz schreiber uciekli szosą w lewo, zabierając ze sobą dużą część aprowizacji obozu. Z nami pozostał ten, względnie przyzwoity "Unterscharführer" przysłany do obozu kilka tygodni wcześniej i kilku niemrawych, zdezorientowanych wartowników. Zrozumieliśmy, że zbliżamy się do końca niewoli. Skręciliśmy w jakąś trzeciorzędą drogę wiodącą przez las. Niespodziewanie zajechał nam drogę niemiecki samochód pancerny. Poczuliśmy się śmiertelnie zagrożeni. Po dłuższych pertraktacjach prowadzonych przez załogę samochodu pancernego z prowadzącym nas "Unterscharführerem" oraz cywilnym kierownikiem fabryki, w której pracowaliśmy, pozwolono nam zająć jakąś większą polanę przy drodze i wydano śniadanie.

Po pewnym czasie samochód pancerny odjechał, a nas zaprowadzono z powrotem do obozu. Na zwykłych wartowniczych nie było już wartowników. Już ich praktycznie nie było - gdzieś któryś przemknął w cywilnym ubraniu. Po południu zwołano ostatni apel. Do obozu wszedł ten sam względnie zachowujący się unterscharfführer i zawiadomił nas, że wojna się skończyła, że jesteśmy wolni i że życzy nam szczęśliwych powrotów do własnych domów. Rzuciliśmy się na "Unterscharführera" - i wychuściliśmy go. Byliśmy wolni. Po wyjściu Niemca odśpiewaliśmy hymny państwowe Polski, Francji i Związku Radzieckiego.

Nr archiwum 3.9.3.6.



Widok na fabrykę główną "GETEWENT"
od strony obozu, do której więźniowie
kopali tunel. Na pierwszym planie
dachy baraków obozowych.

Nr archiwum 3.9.1.20